Przed siebie - część 3 — Falcor

Od autora: Wstajesz rano i zastanawiasz się, co ja mam dalej zrobić ze swoim życiem? Podobnie ma bohater tej historii. Wiedziony impulsem nagle rusza przed siebie, dzięki czemu trafia w parę codzienno-niecodziennych miejsc oraz spotyka na swojej drodze kilka ciekawych i nieciekawych osób. Tylko czy na końcu znajdzie odpowiedź na pytanie, dokąd ja w zasadzie zmierzam?

6

Obudził go dzwonek do drzwi. Bardzo natrętny dzwonek, gdyż przy pierwszych jego sygnałach Bosman postanowił nie reagować zakładając, że pewnie zaraz umilknie. Dzwonek jednak nie milkł. W końcu wstał z łóżka i powoli powlókł się do drzwi. Była już pełnia dnia. Przechodząc koło pokoju w którym wczoraj zniknął Przyjaciel zauważył, że nikogo w nim nie ma. W końcu stanął przy drzwiach i powoli je otworzył.

- Dzień dobry! – powitał go rześki, aczkolwiek nieco skrzeczący głos. – Czy ma pan wszystko czego panu potrzeba? – zapytał młody, chudy człowiek w garniturze stojący przed Bosmanem. W ręku miał grubą, czarną teczkę, a na nosie okulary i sztucznie się uśmiechał. Bosman już zbierał myśli, aby cokolwiek mu odpowiedzieć, gdy młody człowiek zaczął mówić dalej z pełną werwą. – Widzę, że się pan zastanawia. Otóż każdy z nas zastanawia się nad tym czasami. Całe szczęście, że się u pana zjawiłem, gdyż mam coś, dzięki czemu nie będą pana gnębić podobne pytania. – I kończąc zdanie usiłował niejako wprosić się do środka. Bosman oprzytomniał już jednak na tyle, że dostęp do pomieszczeń mieszkalnych swego przyjaciela zagrodził mu nogą. Co więcej oprzytomniał już nawet na tyle, że zdobył się na szybkie, konkretne pytanie.

- Co pan sprzedaje?

Młody człowiek był nieco zaskoczony i zdeprymowany, że nie wszystko przebiegło po jego myśli, jednak szybko pozbierał się i ponownie przypuścił atak.

- Coś co jest panu niezbędne. Wiem, wiem, może pan powiedzieć, że obywał się pan bez tego do tej pory, ale nawet pan nie wie jak bardzo umili to panu życie...

- „Wódka, a może marysia?" – pomyślał wesoło Bosman, który obudził się już całkowicie o czym wkrótce miał się przekonać pewien młody człowiek, sterczący pod drzwiami z numerem jeden. Na razie młodzian kontynuował, zachwalające niezbędność swego produktu wywody, nie zdradzając jednak co tak naprawdę ma do sprzedania.

-...wspaniałe materiały o unikalnej kolorystyce, i co najważniejsze z wykorzystaniem kosmicznych technologii..."

- „A może on jest z agencji kosmicznej i chce mi sprzedać kalesony astronauty?" – myślał coraz bardziej rozbawiony Bosman. Nigdy bowiem nie traktował takich ludzi poważnie, a jeśli w ogóle ich słuchał to dlatego, że dostarczali mu specyficznego rodzaju rozrywki. Tymczasem młody ciągnął dalej.

- ...za taką cenę może pan to dostać tylko w naszej firmie. – W tym momencie gwałtownym gestem rozchylił marynarkę i oczom Bosmana ukazała się elegancka, biała koszula, na której znajdowało się przyklejone logo z napisem „Dodupex" – I to w specjalnej promocji, na którą składają się wyłącznie markowe wyroby o unikalnej...

- Jest pan szczęśliwy w życiu? – przerwał mu nagle i stanowczo Bosman, którego ów występ zaczynał już powoli nudzić i postanowił przejąć inicjatywę.

- Jaaa? – Młody człowiek wyraźnie nie był przygotowany na pytanie z takiego zakresu i wprawiło go to w spore zakłopotanie. Jednak nie był by sobą, to znaczy młodym człowiekiem, a może nawet handlowcem, gdyby dość szybko się nie pozbierał i oznajmił. – Szczęście w życiu zapewniają produkty naszej firmy! – Po czym triumfalnie, jeszcze szerzej rozchylił marynarkę eksponując „wspaniałe" logo.

- Zła odpowiedź – szybko zgasił go Bosman i nie dając tym razem szansy młodemu człowiekowi na pozbieranie myśli, dodał. – Czy ta praca daje panu satysfakcję? Czy wracając do domu wie pan, że zrobił dziś coś naprawdę dobrego?

- Na.. nasze pro.. produkty są ba.. bardzo do.. – Młody człowiek tracił grunt pod nogami, a gdy jeszcze zaczął się jąkać, próbując w jakiś sposób wybrnąć z tej sytuacji, to Bosmanowi zrobiło się nagle żal tego gościa i machnięciem ręki zaprosił go do środka.

Po chwili siedzieli naprzeciw siebie przy stole w dużym pokoju. Młody człowiek nic już teraz nie mówił i siedział cichutko, nieco skulony, jakby czekał na wyrok. Sam nie wiedział po co tu wchodzi, bo nadzieję na zdobycie klienta stracił zupełnie. Jednak Bosmański gest był tak stanowczy, że nie śmiał się sprzeciwić. Poza tym w firmie uczyli go, aby nie sprzeczać się z potencjalnymi nabywcami ich produktów. Bosman jedną rękę położył zamaszyście na stół, jakby odgradzając się od młodego człowieka, a drugą oparł na kolanie. Wyglądał teraz trochę jak wojownik, z tym że siedział w samych slipach i koszulce, gdyż nie zdążył się do tej pory ubrać.

- Co się pan tak boi? – zapytał po chwili. – Zadałem panu proste pytanie. Pańska firma guzik mnie obchodzi. Ja się pana pytam, czy prywatnie jest pan zadowolony wiedząc, że wciska pan ludziom kit i to jak przypuszczam kit za niemałe pieniądze? – skończył Bosman, po czym nastała dłuższa cisza.

Młody, mocno w tej chwili zmieszany człowiek, najchętniej by już wyszedł, ale Bosman patrzył się wprost na niego, a jego wzrok w jakiś dziwny sposób nie pozwalał rozmówcy wstać od stołu.

- J... jaa, po prostu taka mam pracę – odparł w końcu jakby nieco się wstydząc.

- I żadna praca nie hańbi, tak? – Bosman był nieustępliwy, zwłaszcza, że wyczuł iż ma przeciwnika w garści. – Wie pan co? – Młody człowiek oczywiście nie wiedział i chyba nawet nie chciał wiedzieć. – Ja rozumiem, że ktoś może pracować jako kanar i że praca taka nie jest przez ludzi ceniona, ale jest ona tak naprawdę niezbędna, bo nie jesteśmy jeszcze tacy uczciwi, by jeździć bez biletu jeśli nikt nas nie będzie kontrolował. Ale pan nabiera stare babcie oraz naiwniaków, czy też głupków którym i tak nie jest w życiu lekko, bo powiedzmy sobie szczerze, na sprzedaż takiego badziewia nie nabiera się nikt mądry, a tym bardziej zamożny. Oto co sądzę na temat takiej pracy. I co pan na to? – kończąc tę wypowiedź, Bosman grzmiał już taką stanowczością jak dowódca w armii, nie ma się więc co dziwić (bo zapewne niewielu z nas zachowałoby się inaczej na jego miejscu), że nasz młody człowiek nawet nie pomyślał o tym, żeby wyjść tylko poczuł się jak w szkole podstawowej na lekcji matematyki, które to lekcje wspominał z lek-

kim strachem.

- A co ja mam zrobić? – powiedział z wielkim żalem w głosie. – Po zawodówce ciężko dostać pracę. Nikt nie chce przyjmować takiego jak ja, nawet do głupiego sklepu na podwórku. Pracowałem wcześniej na budowie, ale jakoś nie potrafiłem tam zagrzać miejsca. – Młody człowiek prawie już ryczał, a ręce latały mu ze zdenerwowania we wszystkich kierunkach. – A przecież żyć z czegoś trzeba! – ryknął z wyrzutem.

- I co zawsze chciałeś być domokrążcą, co? – Bosmanowi było już bardzo żal tego młodzieńca, od którego w końcu nie wiele był starszy, więc nie miał w zasadzie prawa zbytnio się wymądrzać, ale chciał się jeszcze czegoś o nim dowiedzieć, a bał się że gdy złagodnieje to młody człowiek zdobędzie się na odwagę i wyjdzie, nadal więc pozostawał twardy i nieprzejednany w swej postawie.

- Nn.. niee, kiedyś chciałem robić meble. – Powiedział młody człowiek z lekką ulgą, jakby cofnął się w czasie do momentu kiedy o tym właśnie marzył. – Jj.. ja całkiem dobrze sobie radzę z taką robotą. Www domu to naprawiałem ww... wszystko, wszystko potrafiłem zrobić. Mamie to nn.. nawet szafki do kuchni zrobiłem. – Rzekł z nieukrywaną dumą i powoli dochodząc do siebie.

- I co biedaku? – Bosman już wyraźnie zmiękł. - Nie próbowałeś się załapać w jakiejś fabryce mebli?

- A pewnie, że próbowałem, ale teraz to do wszystkich okolicznych fabryk biorą tylko ludzi z doświadczeniem. Tutaj w Molochu tylko luksusowe mebelki się robi. Żeby pracować w takiej najzwyklejszej to musiałbym się przenieść gdzieś indziej, a za co mam to zrobić? – westchnął smutno, po czym dodał jeszcze jakby zgadując myśli Bosmana. – Myślałem też co by samemu robić takie meble, ale dziś własną firmę ciężko utrzymać. Zwłaszcza jak się nie ma ani pieniędzy ani gwarancji, że klient się znajdzie. Więc załapałem się w takiej robocie jaka się nawinęła – zakończył ze smutkiem.

- Jak z ciebie taka złota rączka to na konserwatora byś się nadał jak nic. – Bosman starał się go trochę podnieść na duchu. – Pewnie w wielu firmach, czy choćby urzędach potrzebują kogoś takiego. Może to nie robienie mebli, ale przynajmniej uczciwa robota.

- I co mam tak latać od miejsca do miejsca i pytać się, czy by mnie nie przyjęli? Ciekawe czy pan by tak latał?

- A co miałbym zrobić? W końcu ktoś cię zatrudni, tylko trzeba o to trochę powalczyć. - Bosman kłamał. W życiu jeszcze nigdzie nie latał i raczej nie zamierzał, bo nie sądził, aby tak mógł coś załatwić. Chciał jednak jakoś pocieszyć chłopaka i dać mu nadzieję, a poza tym to że on sam nic by lataniem nie załatwił, to nie oznaczało, że ktoś inny nie mógł tego dokonać. Bosman nieco wątpił w swe umiejętności w tym zakresie, co nie przeszkadzało mu pouczać innych. – Nie ma się co martwić – ciągnął Bosman, choć wiedział, że to gówno prawda. – Najgorzej to zacząć. Tak przy okazji to masz jakąś wizytówkę? Może mój przyjaciel będzie chciał odnowić sobie szafki w kuchni, bo obecne mocno się już zużyły. A może jakiś jego kolega będzie miał meble do renowacji. Po swoich znajomych też byś popytał – dokończył Bosman i poklepał wstającego od stołu i grzebiącego w kieszeni marynarki młodego człowieka. Myślał jednak przy tym. – „Jestem mistrzem w udzielaniu rad z których sam pewnie nigdy bym nie skorzystał. Ale może ten łepek skorzysta?" – Po czym odprowadził go do drzwi.

- Oto moja wizytówka – powiedział młody człowiek, wręczając ją Bosmanowi. Bosman spojrzał na nią uważniej. Było tam napisane między innymi: „Dodupex – jesteśmy najlepsi wśród najlepszych i w ogóle", a dalej „Młody Człowiek – sales manager" oraz adres młodego, czy raczej, Młodego Człowieka.

- Innej nie mam – powiedział Młody Człowiek. – Do widzenia – dodał odchodząc. Widać nie miał już ochoty nic sprzedawać, a przynajmniej nie w tym bloku.

- „Idź i nie grzesz więcej" – pomyślał Bosman, ale zaraz po tym poczuł się niezmiernie głupio.

Szybko podszedł do okna w kuchni. Młody właśnie wychodził z klatki i ze spuszczoną głową oraz dyndającą walizką opuszczał osiedle.

- Albo go uratowałem, albo pogrążyłem – powiedział do siebie Bosman takim, głosem jakby mu ktoś przywiązał kamień do szyi. Po czym dodał. – O tym czy to ja mam rację, czy też jestem tylko Don Kichotem przekonam się już za jakieś 50 lat. - Myśl o tym człowieku męczyła go jednak jeszcze jakiś czas. – „Ale się wygłupiłem. Bo kim ja niby jestem, aby tak gadać z ludźmi? Sam nawet nie wiem co ja tu robię, a rad udzielam jakbym był jakimś guru. A jeśli temu gówniarzowi się nie uda? Jeśli żuci wszystko, zacznie robić to co lubi i nic z tego nie wyjdzie? Przecież będzie to wtedy moja wina, bo kto mu takich pierdół naopowiadał?" – myśląc tak Bosman łaził po całym pokoju, nie mogąc spokojnie ustać w miejscu.

W końcu pokój już mu nie wystarczył i zaczął łazić po całym mieszkaniu. Był tak pogrążony w rozmyślaniach, że koło szafki na buty stojącej w przedpokoju przeszedł dobre kilkanaście razy, zanim zauważył na niej sporych rozmiarów kartkę z olbrzymim napisem „Do Bosmana". Przystanął, podniósł ją i przeczytał. Treść brzmiała: „Jak ci wcześniej wspominałem, musiałem rano wyjść. Będę koło osiemnastej. W lodówce jest niewiele, ale jak coś znajdziesz to śmiało bierz. Dziś wieczorem idę na imprezę, chcesz iść ze mną to bądź w domu o dwudziestej. Zapasowe klucze są na lodówce. Przyjaciel". Bosman spojrzał na zegarek. Dochodziła czternasta. Nie był głodny do póki list mu nie przypomniał o lodówce. Rzeczywiście nic w niej jednak nie było. Gorzej, że nic nie było także w portfelu Bosmana.

- „Trzeba się będzie przejść do banku" – pomyślał, a jak pomyślał tak zrobił.

Zanim jednak znalazł się na zewnątrz wysłał jeszcze smsa do domu, że wszystko ok i że siedzi już w Molochu u Przyjaciela, po czym zamknął mieszkanie i wyszedł. Z rana Moloch nie wyglądał tak źle. Gdzie niegdzie były nawet drzewa. Tylko słońce, które nadal nie mogło przebić się przez chmury, oświetlało to miejsce dziwnym, wyblakłym światłem.

7

Bosman nie bardzo wiedział co jest gdzie, gdyż znał Moloch tylko pobieżnie, miał jednak mnóstwo czasu, więc postanowił przejść się w dowolnie wybranym przez siebie kierunku i odnaleźć jakiś bank. W najgorszym przypadku, po pół godzinie bezskutecznych poszukiwań, po prostu zapyta kogoś o drogę. Rozejrzał się dookoła. Wszędzie były bloki i ulice. No prawie wszędzie, bo oto w odległości kilku-

set metrów coś się zieleniło. Nie znajdując lepszej alternatywy postanowił udać się właśnie w tym kierunku. Nie było to jednak takie proste. Idąc ulicą musiał ciągle uważać na tłum który czasami porywał go niczym ogromna fala. Ciężko szło mu poruszanie się w takim ścisku, zwłaszcza że starał się nikogo nie potrącić. Było to jednak praktycznie niemożliwe i kilka razy przyszło mu zderzyć się z innym człowiekiem. Ku zdumieniu naszego bohatera, ludzie wcale na to nie reagowali, jakby była to rzecz najzupełniej normalna. I rzeczywiście tak faktycznie to odbierali. Całe to zafalowanie osiągnęło apogeum w momencie kiedy Bosman przechodził koło przystanku autobusowego, przy którym zatrzymały się jednocześnie dwa autobusy. Pierwsza fala wypadała z autobusów i zniosła Bosmana na pobliski trawnik. Druga pojawiła się z przeciwnego kierunku i sprawiła, że Bosman mimo woli, o mało nie pojechał autobusem linii numer 113 w bliżej nieznanym sobie kierunku. W ostatniej chwili desperacko zdążył chwycić się przystanku i to go uratowało.

- „Rzuca gorzej niż przy ósemce" – pomyślał nieco zirytowany, po czym kontynuował wędrówkę.

Kolejną przeszkodą okazała się ulica. Samochody pędziły po niej jak potok w stromym, górskim korycie. Była tu jednak sygnalizacja świetlna, która zapaliwszy zielone światło dla pieszych, dawała szansę na szczęśliwe dotarcie na drugi koniec ulicy. Ta sztuka udała się Bosmanowi dość dobrze, chociaż kilka razy słyszał za plecami klakson i jakieś mało poetyckie wypowiedzi. Zanim jednak dostał się do terenów zielonych, musiał jeszcze ponownie powalczyć z napierającym tłumem, ale w końcu osiągnął zamierzony cel. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że przejście takiego kawałka drogi może pochłonąć tyle czasu i energii.

Teraz stał przed wejściem do parku. Drzewa wzdłuż zadbanej alei wyglądały niemal jak wrota do innego świata wśród tego całego betonu. Nie zastanawiając się długo ruszył dalej. Park o tej porze był raczej pusty. Ot gdzieniegdzie siedziała para staruszków lub jeździły na rolkach dzieciaki, które zdążyły już wrócić ze szkoły. Wszystko było tu ładnie zaprojektowane i urządzone. Nawet pogoda zadawała się być tutaj nieco lepsza.

- „A wiec nawet tutaj są naprawdę ładne miejsca" – pomyślał Bosman i jakby na potwierdzenie tej myśli przebiegła koło niego wiewiórka, zatrzymując się po drugiej stronie zadbanej alejki. Bosman popatrzył na nią i uśmiechnął się. – „Śmieszna taka wiewiórka. Zupełnie sympatyczna."

Stał tak chwilę i przyglądał się jej, a ona jemu wyraźnie licząc na poczęstunek. Musiała się jednak zawieść, bo jak wiemy Bosman sam był głodny jak wilk. Nagle wiewiórka spojrzała jakby za niego, wystraszyła się i uciekła. Bosman odruchowo także spojrzał się w tamtym kierunku i zobaczył coś jakby rozmazany cień, kryjący się za drzewem. Szybko przetarł oczy, potrząsnął głową i spojrzał w to miejsce ponownie. Tym razem jednak niczego nadzwyczajnego nie dostrzegł.

– „Jeszcze chyba tak nie zwariowałem, aby widzieć mary których sam nie stworzyłem?" – spytał sam siebie, po czym dodał z niepokojem. – „A może jednak?"

Po chwili ociągając się i ciągle zerkając w tamto miejsce ruszył dalej. Teraz jednak nie zwracał już takiej uwagi na park, mimo iż jego widok z pewnością go uspokajał. Spojrzał na zegarek i przyśpieszył kroku. Jego pół godziny samodzielnego szukania skończyło się 5 minut temu. Zaczął rozglądać się za wyjściem z parku. Spostrzegł je niebawem, po czym udał się w jego kierunku. Po chwili znowu był na zatłoczonej ulicy. Miał trochę szczęścia, bo niedaleko znajdował się Duży Bank. Forsując tłum przechodniów z niemałym wysiłkiem, stanął w końcu przed drzwiami owego banku. Był to wspaniały budynek, zaprojektowany według najlepszych współczesnych wielkomiejskich gustów, ze wspaniałymi materiałami wy-

kończeniowymi i cudownie automatycznymi drzwiami wejściowymi. W cudownym budynku, cudownie zaprojektowana tablica informacyjna, wskazywała Bosmanowi cudowną drogę do cudownego działu obsługi klienta indywidualnego, który nie jest najcudowniejszym podmiotem gospodarczym, ale zwykłą cudowną osobą prywatną. Nasz bohater wszedł do cudownie ogromnej sali, gdzie cudowne panie obsługiwały cudownych ludzi, czekających w mniej cudownych kolejkach. Bosman zajął miejsce w jednej z tych kolejek, a czekając zaczął żywo rozglądać się po tak cudownym miejscu. Dookoła wisiały cudowne napisy, cudownie głoszące dozgonne i bezgraniczne oddanie tej cudownej instytucji swym cudownym klientom. Ba, słowo klient, choćby i cudowny, było zbyt płytkie, aby oddać pełnię zwrotów jakimi ów cudowny bank zapewniał, że zależy mu na dobru każdej osoby która tu zawita. Najlepszym określeniem było by co najmniej przyjaciel, a może nawet cudowny najlepszy przyjaciel. Tak, tutaj wszyscy byli dla siebie przyjaciółmi. Uśmiechnięta pani, przyjmowała od uśmiechniętych ludzi, uśmiechnięte pieniążki, które jej kolega z działu inwestycji lokował z uśmiechem w najweselszy możliwy sposób. W końcu przyszła kolej Bosmana na podejście do okienka.

- Czym mogę służyć? – spytała cudownie uśmiechnięta pani w okienku.

- A chciałbym wypłacić pieniążki – oznajmił Bosman i uśmiechnął się prawie równie cudownie, mimo iż nie miał jeszcze wprawy w tego typu uśmiechach. Powiedzmy sobie szczerze: w porównaniu z tą pnia był zwykłym amatorem.

- Poproszę pański dowód. – Pani w okienku wciąż cudownie się uśmiechała.

- Proszę bardzo – odparł uśmiechnięty Bosman i podał uśmiechniętej pani dowód, która od razu zaczęła sprawdzać coś w komputerze.

Widać jednak nie wszystko szło dobrze, gdyż uśmiechnięta pani zaczęła uważniej przyglądać się dowodowi i z coraz większą determinacją wklepywała coś w komputer. W końcu zapytała z odrobiną irytacji w głosie.

- A pan u nas zakładał konto?

- No tak – odparł Bosman, uśmiechając się już mniej. – W Dużym Banku.

- Ale czy w naszym oddziale?

- Nie. Zakładałem konto w Nadjeziorzu.

- Ah, w Nadjeziorzu – westchnęła pani przez moment nie uśmiechając się. W jej spojrzeniu pojawiło się natomiast coś co można by określić, gdybyśmy oczywiście nie byli w tak cudownym miejscu, jako wyniosłość. – To ja muszę coś sprawdzić – dodała i podeszła do uśmiechniętej koleżanki, która siedziała nieco w głębi.

Dość długo tam razem dyskutowały, spoglądając to na dowód, to na komputer, to znów na Bosmana. Nie były to jednak spojrzenia zbyt miłe, mimo iż uśmiech nie znikał z ich twarzy, a od czasu do czasu ochoczo potakiwały główkami. Gdyby nie to, że było to niemożliwe w miejscu takim jak to, to Bosman dałby głowę, że wśród zdań które padały z ich ust, wychwycił kilka typu:

- Mam tu takiego z Nadjeziorza .

- Który to?

- Tamten.

Albo:

- I co?

- Nic. Szukam i szukam.

- Że też tacy przychodzą akurat do nas.

Czy też:

- Ile ma?

- Dwieście.

- No patrz, tyle roboty przez głupie dwie stówy.

Dla Bosmana te dwie stówy takie głupie jednak nie były, bo stanowiły one wszystko co aktualnie posiadał. Po kilkunastu minutach pani z okienka wróciła na wcześniejsze miejsce pracy i oddając Bosmanowi dowód, oznajmiła jaka kwota jest na koncie oraz zapytała ile szanowny klient zamierza podjąć. Oczywiście nie zapominała o uśmiechu.

- Wezmę wszystko – po krótkim zastanowieniu się odparł Bosman.

Po chwili dostał gotówkę do ręki i papierek potwierdzający wypłatę do podpisu.

- Dziękuję i życzę miłego dnia – powiedziała na koniec uśmiechnięta pani.

- I nawzajem – odparł Bosman, stwierdziwszy nie wiedzieć czemu, że będzie to odpowiedź najwłaściwsza. A po wyjściu z banku mruknął jeszcze do siebie. – Bardzo miłe te grzeczności, ale mocno wykańczające.

Postał jeszcze chwilę przed bankiem, zastanawiając się w którym kierunku musi się udać, aby trafić z powrotem do domu Przyjaciela. Po namyśle stwierdził, że urozmaici sobie nieco dzień i nie będzie wracał tą samą drogą. Orientował się w kierunku na tyle, że wiedział iż alternatywne przejście powinno znajdować się jakoś za budynkiem w którym znajdował się bank. Postanowił go więc obejść. Od zaplecza Duży Bank nie wyglądał już tak cudownie. Nie było marmurów, ani jakichś szczególnych rozwiązań architektonicznych, a miejscami nawet odpadał tynk.

- „Prawdziwe oblicze" – pomyślał Bosman uśmiechając się pod wąsem.

Za bankiem faktycznie znajdowała się droga, która zdawała prowadzić się przez ten sam park, którym tutaj dotarł, aczkolwiek inną jego część. Ten jego odcinek nie był już taki piękny. Widać było rozkopane doły, nie przystrzyżone krzewy i usychające drzewa. Nie szło się także po ładniutkim chodniku, ale błotnistej ścieżce.

– „Widać tutaj nie zdążyli jeszcze urządzić terenu” – myślał sobie Bosman rozglądając się w około z jeszcze większym zaciekawieniem niż to miało miejsce w zadbanej części parku.

Potem przeszedł jeszcze koło jakiegoś człowieka śpiącego na starej, częściowo połamanej ławce.

– „Ooo i towarzystwo inne.”

Wychodzących z parku żegnał wielki dół, w którym zapewne kiedyś znajdowały się jakieś rury.

– „To miasto trzyma się na tapecie. Jeszcze tylko brakuje, aby to wszystko było na wielkiej hałdzie śmieci” – podsumował Bosman swoje rozważania na temat okolicy.

Wyszedł znowu na szarą ulicę. Tym razem znajdował się z drugiej strony domu Przyjaciela, przy którym znajdował się niewielki sklepik spożywczy. Niezwłocznie udał się w to miejsce. Po wejściu do środka stwierdził, że sklepik jest dość podobny do swojego właściciela. Niski, ale za to przysadzisty, nieco zaniedbany, z dość specyficznym charakterem. Właściciel właśnie kończył obsługiwać jakąś kobietę. Właściwie to skończył ją obsługiwać już dość dawno, a obecnie tylko ucinał sobie z nią pogawędkę, niemniej nie przejął się zbytnio obecnością Bosmana i tylko łypnął na niego spod oka. Kobieta musiała być jego stałą klientką i zapewne mieszkała niedaleko, bo rozmawiali jak starzy znajomi.

- ... no widzisz pani jak to teraz robią. – Właściciel sklepu był dość zmartwiony jakąś historią, którą usłyszał od kobiety. – A co tak sama się pani tacha z tymi torbami? Syn by nie pomógł? Dawno go już nie widziałem.

- No przecież on się już przeniósł na swoje – odparła kobieta z uśmiechem i skrywaną dumą.

- Taak? No proszę. A dawno temu? – właściciel był wyraźnie zaskoczony.

- Będzie z półtorej miesiąca. Teraz to on jest...

I tak sobie rozmawiali nie zwracając zbytniej uwagi na Bosmana. Ten z kolei nie śmiał im przerwać i po raz wtóry przyglądał się produktom na półkach, mimo iż od jakiegoś czasu doskonale wiedział co zamierza kupić. Minął może nie cały kwadrans, kiedy w końcu kobieta ostatecznie pożegnała się z właścicielem sklepu. Ten nie mając już nic innego do roboty podszedł do Bosmana.

- Co ma być? – zapytał szorstko, a Bosman zaczął dość nieśmiało wymieniać produkty, które zamierzał tutaj nabyć. – Coś pan taki speszony? – spytał podliczając ceny produktów właściciel.

- Jaa? Eee, nie.. wcale nie. – Pytanie wyraźnie zaskoczyło Bosmana.

- Jak żeś pan chciał coś kupić to było wołać. – Zdaje się, że właściciel mimo wszystko poczuwał się jako tako do swych obowiązków obsługi klienta i było mu teraz trochę głupio, że z początku tak zaniedbał Bosmana. Zwłaszcza, że ten nabył całkiem pokaźną, jak na ludzi którzy odwiedzali jego sklepik, liczbę produktów. – Ja tam mogłem przecież i rozmawiać i obsługiwać.

- Eee, nie szkodzi. Ja tak lubię sobie długo wybierać – odrzekł Bosman, u którego właściciel sklepu wywoływał niezrozumiałe zakłopotanie. Szybko uregulował rachunek i opuścił sklepik, udając się prosto do mieszkania Przyjaciela. – „I co jest lepsze? Fałszywy uśmiech, czy szczere chamstwo?” – rozważał w myślach Bosman, mając w pamięci wizytę w Dużym Banku.

Było to jedno z tych pytań na które nie znajduje się odpowiedzi tak od razu. Zresztą dylemat czy żyć do bólu uczciwie, czy też oszukiwać się, że jest dobrze, stawiał sobie Bosmanem już wielokrotnie, ale odpowiedź ciągle mu umykała. Może po prostu nie było jednej uniwersalnej. Pewnie tak.

Po przybyciu do domu, Bosman wziął się za robienie obiadu, jeśli można tak nazwać zagotowanie wody i zalanie nią makaronu. To było za mało. Ostatnio głód dość często mu towarzyszył, toteż postanowił najeść się do syta, albo i jeszcze bardziej. Wyjął resztę produktów po czym w kuchni zawrzało i to nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu.

8

Kiedy Przyjaciel wrócił do domu było już grubo po osiemnastej, a najedzony i odświeżony po kąpieli Bosman, leżał sobie na kanapie i oglądał telewizję.

- Widzę, że zdecydowałeś się iść na imprezę, a co więcej już ją zacząłeś – powiedział Przyjaciel, zerkając na pustą flaszkę po winie owocowym, stojącą na stole.

Była to flaszka podreptaczowa, ale Przyjaciel nie mógł przecież tego wiedzieć, a poprzedniego wieczora, kiedy Bosman do niego przybył, był tak zaspany, że nawet jej nie zauważył.

- Nie, nie. To butelka takiego żula. Zostawił mi ją i zwiał. – Bosman próbował w najprostszy sposób wyjaśnić pochodzenie butelki. – Zresztą nie wiem czemu jej jeszcze nie wyrzuciłem. Zrobię to jak będziemy wychodzić.

Przyjaciel zdziwił się nieco, ale że nie takie historie już słyszał przez wszystkie lata studiów, to uznał to za fakt i nie wnikał w weń więcej. Miał się jednak dowiedzieć wszystkiego związanego z podróżą Bosmana do Molocha w drodze na imprezę.

- Ale na imprezę idę oczywiście – dodał Bosman. – Dokonałem już nawet odpowiednich zakupów. – Wskazał na lodówkę. - Tak w ogóle to gdzie ta impreza?

- W Niebieskim.

- Aaa w Niebieskim.

Niebieski był to duży akademik, znajdujący się prawie w samym centrum Molocha, nazywany tak od koloru ścian. Bosman był tam raz, czy dwa podczas wcześniejszych odwiedzin u Przyjaciela. Było to miejsce w którym imprezy nie miały prawa się nie udać.

- „Dobrze, że Przyjaciel nadal ma tam jakieś wejścia” – pomyślał Bosman.

Podczas gdy gapił się w telewizor, Przyjaciel zjadł obiad i zażył orzeźwiającej kąpieli. Zbliżała się dwudziesta i czas było wychodzić.

- Pójdziemy piechotą – oznajmił Przyjaciel. – Na skróty to tylko dwadzieścia minut drogi.

Zabrali to co Bosman trzymał w lodówce i wyszli.

- O, znów nie ma gwiazd – powiedział zawiedziony Bosman, zaraz po wyjściu z budynku.

- Rzadko się tu pojawiają, a nawet jeśli to łuna od miasta jest taka, że w zasadzie żadnej nie widać.

- To jak tu marzyć w takim mieście bez gwiazd?

- W domu przed komputerem – zażartował, ale tylko częściowo, Przyjaciel.

O tej porze ulice nie były już tak zapchane, żeby się trzeba było przez nie przepychać, a po chwili i tak skręcili w boczną uliczkę, na której było prawie zupełnie pusto i dość ciemno. Jak już wspomniałem wcześniej, Bosman zaczął teraz opowiadać swoje przygody z podróży do Molocha. Opowiadał o wysadzeniu go w Zadupiu, spotkaniu Dreptacza i jeździe z Raiderem. Nie mógł wszakże odpowiedzieć na pytanie Przyjaciela, po co w zasadzie przyjechał. W końcu rozmowa zeszła na nieco inne tory, a mianowicie tory po których, że tak powiem, poruszał się Przyjaciel i całe to miasto.

- A co tam u ciebie? Jak ci się tu żyje z dala od domu? – spytał Bosma.

- No wiesz, w zasadzie normalnie. Rano do pracy, wieczorem do domu i jakoś leci.

- A robotę normalną masz, czy przerąbane?

- Nie, no normalną. To znaczy wiadomo, że wymagają tam od człowieka dużo, ale nie jest tak źle. Tylko wiesz, człowiek nieco jest zalatany i jak przyjdę do domu to mi się zwykle tylko spać chce.

- Hobbowałeś jakoś ostatnio? – spytał Bosman.

Należy tutaj wyjaśnić, że hobbowanie to nic innego jak uprawianie ulubionego hobby. Przyjaciel, jak każdy innych człowiek, miał swoje ulubione hobby, które dawniej uprawiał nader często.

- A nie wiem. Może z dwa tygodnie temu. Ciężko mi się teraz zebrać – odpowiedział nieco smętnie.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo utracił poczucie przepływającego czasu. W rzeczywistości nie hobbował już ponad półtorej miesiąca.

- Dziwne to miasto. Ja bym tu nie mógł mieszkać. Ma w sobie takie zimno. – Bosman sprowadził rozmowę o mieście do nieco innej perspektywy.

- Faktycznie, nie ma tutaj takiego klimatu jak u nas. Ma za to inne zalety.

- Szybka kariera?

- Na przykład. Ale też rozrywek jest tutaj znacznie więcej. Więcej kin, teatrów...

- Tylko, że jedzie się do nich tyle ile u nas do innej miejscowości – Bosman przerwał rozważania przyjaciela. – Biorąc to pod uwagę można by rzec, że u nas też kin i innych rozrywek jest cała masa. Zresztą mi zwykle wystarcza to co mamy u siebie.

- Nawet biorąc pod uwagę to co mówisz, to i tak tutaj jest o wiele lepszy dostęp do wszystkiego.

- Tylko po co ci on, jak na nic nie masz czasu?

- No bez przesady. Może mam go mniej, ale jednak jakoś go znajduję. – Przyjaciel starał się udowodnić Bosmanowi, że tu wcale nie jest tak źle, po chwili dodał jednak. – Chociaż fakt, że ludzie są tutaj o wiele bardziej wyalienowani. Nie zwracają uwagi na siebie nawzajem – nieco się zmartwił. – Wiesz, tutaj większość ludzi wcale nie urodziła się w Molochu. Ci stąd przywykli do tej rzeczywistości i nawet nauczyli się sobie z nią radzić, ale większość przyjezdnych jest inna. Często mają, nie wiedzieć czemu, kompleksy na punkcie tego, że przybyli z jakiejś małej miejscowości. Tutaj z całej siły starają się wyleczyć te wszystkie kompleksy, a kiedy im się uda stają się często tak dumni, że zapominają o swoich korzeniach. Dziwne prawda?

- Fakt. Więc uważasz, że to ich podejście sprawia, że jest tu ta sztuczna atmosfera? – spytał Bosman.

- No nie tylko, ale chęć osiągnięcia sukcesu i udowodnienia, niestety zwłaszcza innym, czegoś normalnie niezrozumiałego, powoduje że nie patrzą jakimi sposobami i do czego tak naprawdę dążą.

- A ty nie boisz się, że kiedyś też wpadniesz w tą pułapkę?

- Na co dzień o tym nie myślę. Poza tym jaką mam alternatywę? Wrócić do Nadjeziorza i pracować tam 30 lat na coś, co tu mogę osiągnąć w pięć?

- To takie straszne?

- Jeżeli patrzy się z perspektywy zapewnienia przyszłej rodzinie jak najlepszego bytu, to tak. Nigdzie nie ma większych szans na rozwój zawodowy niż tutaj.

- I myślisz, że rodzina oczekuje od ciebie przede wszystkim właśnie tego? Nie boisz się, że to miasto wpłynie źle nie tylko na ciebie, ale i właśnie na twoją rodzinę?

- Myślę, że sporo zależy od człowieka. Przecież nie ma tu samych zombi. Chociaż oczywiście otoczenie ma bardzo duży wpływ i kto wie, może w Nadjeziorzu warunki są pod tym względem o wiele bardziej normalne.

- O, są zdecydowanie bardziej normalne – z pewnością odparł Bosman.

W tym momencie dyskusja musiała dobiec końca, gdyż właśnie doszli do Niebieskiego. Po krótkiej rozmowie kwalifikacyjnej z panem na portierni, który uznał, że kwalifikują się do wpuszczenia, weszli do środka. Tutaj zaczynał się nieco inny świat. Świat wolności, czasem może aż nadmiernej. Muzyka dobiegała z wielu miejsc, a koło czekających na windę Przyjaciela i Bosmana, przeleciał właśnie jakiś gościu w prześcieradle.

- „No to jesteśmy w domu” – pomyślał Bosman, który uwielbiał takie klimaty. I nie zrozumcie mnie źle, nie był on jakimś szalonym imprezowiczem, ale w takich miejscach można kierować się wyłącznie emocjami, a to pobudza w człowieku niesamowite zdolności twórcze. Zawsze odkryjesz tu coś nowego. – „Oaza na tej pustyni.”

Przyjechała winda w której leżał jakiś człowiek z butelką w ręce. Zachował jeszcze resztki świadomości i mocno bełkotliwym głosem z pijackim akcentem zapytał.

- Siódme?

- Nie parter – odparł rozweselony Przyjaciel

- „Ooo, dzisiaj to wcześnie zaczynają” – pomyślał Bosman.

- Kurfa – ciągnął cały czas w tej samej tonacji człowiek na podłodze. – Jusz nigdy tam nie dotrę. – Po czym starał się trafić palcem we właściwy guzik na tablicy rozdzielczej.

- Czekaj, podrzucimy cię – powiedział Przyjaciel i nacisnął odpowiednie przyciski. – My na ósme – dodał śmiejąc się serdecznie.

- Hohane, chłopaki! – mówił wyraźnie wdzięczny człowiek na podłodze i nawet spróbował się z niej podnieść. – Ja wiedziałem, że student studentowi safsze pomosze. Ale to safsze! – z gestykulacji i akcentu obaj nasi znajomi wnioskowali, że człowiek ten święcie wierzy w to co mówi. Przynajmniej w tym stanie.

Winda zatrzymała się na siódmym. Człowiek na podłodze był jednak zbyt zajęty analizą podłogi właśnie i dolnych partii ścian, aby samemu zdołać wydostać się na piętro. Nasze dzielne chłopaki postanowiły mu to ułatwić, biorąc go pod pachy i wynosząc.

- Który pokój? – spytał Przyjaciel.

- Sssssssisisiedemssset... ttttttssszszsznaśśśście. – Niesiony, z wielkim trudem wydobył z siebie słowa.

Daleko go nieść nie musieli, bo na korytarzu pojawił się jakiś inny, znacznie bardziej dyspozycyjny człowiek, który na widok niesionego zawołał.

- Jasiu! Jasiu gdzie ty się włóczysz? Szukamy cię od godziny – po czym zwrócił się do Przyjaciela i Bosmana. – Dzięki chłopaki. Teraz to ja już go od was odbiorę.

Nasze pomocne chłopaki przekazały paczkę i wróciły do windy, która jeszcze nie zdążyła odjechać. Po chwili byli już na właściwym, ósmym piętrze i skierowali się do jednego z pokoi. Przyjaciel zapukał, ale raczej tylko z przyzwyczajenia, gdyż przy ilości decybeli jaka wydobywała się z tego pomieszczenia, nikt tego pukania usłyszeć nie mógł. Obaj weszli do środka nie czekając na odpowiedź. W pokoju panował półmrok, a na środku pokoju skakała gromadka rozbawionych ludzi, którzy teraz zwrócili się w stronę drzwi. Zaraz też wszyscy przystąpili do oficjalnych powitań nowo przybyłych. Dalej było już tak jak zawsze, brało się coś dopicia, ucinało krótkie, nic nieznaczące rozmowy, a gdy pojawił się odpowiedni rytm, można było dać ponieść się fali wyzwalających dźwięków. Jeżeli człowiek poczuł się zmęczony to z pokoju można było przejść do kuchni, gdzie dla odmiany paliło się światło. Można tam było posiedzieć i odpocząć po męczących pląsach, a także skorzystać z trunków i zakąsek postawionych na stole.

Część z siedzących osób Bosman już znał, jednak znaczną większość widział po raz pierwszy. Zawsze też odnosił wrażenie, że właściciele tego lokalu mają nieskończoną liczbę znajomych, których nie sposób spamiętać. Wyznawał jednak zasadę, że ludzi na tego typu imprezach im więcej tym lepiej, tak więc najzupełniej mu to odpowiadało.
Po krótkiej aklimatyzacji, Bosman i Przyjaciel uczestniczyli już w niezwykle istotnej dyskusji na temat najbardziej ekonomicznego, a zarazem dającego największe efekty sposobu picia. Największą liczbę zwolenników miał pomysł wlania wódki do nawilżacza i wchłaniania jej przez skórę. Dodatkowym plusem tej metody było to, że nie trzeba było smakować tegoż trunku, a poza tym malały koszty związane z zakupem zapojki, która w takim przypadku stawała się zbędna. Nawilżacza jednak nikt nie miał i wesołej gromadzie pozostały bardziej rdzennie narodowe metody, opracowane wieki temu i przekazywane z dziada pradziada, spożywania różnorakich napoi wysokoprocentowych. Bosman nie miał zwyczaju nadużywać alkoholu. Na dobrą sprawę nie miał zwyczaju w ogóle go używać i zdarzało mu się to zaledwie kilka razy do roku, co znacznie zaniżało średnią krajową. Jednak jako prawdziwy ziomek nie mógł być przecież całkowitym abstynentem. Ponadto nie widział w tym sensu. Zwykł mawiać – wszystko jest dla ludzi, byle z umiarem. – Tym razem jednak uznał, że okazja jest odpowiednia, by nieco nadużyć. Był też do tego odpowiednio przygotowany. Solidny obiad i zakup sporej liczby, bynajmniej nie pustych, butelek zapewniał osiągniecie zamierzonego celu.

I tak wszyscy siedzieli, gadali i popijali. W głowach zaczynało się kręcić, a uśmiechy nie schodziły z twarzy zgromadzonych. Przyszła w końcu pora na tańce. W pokoju obok zapanował prawdziwy pokaz pląsów, chociaż niektóre style tańca przypominały raczej wschodnie sztuki walki. Skaczący byli w tak doskonałych humorach, że nie przeszkadzała im nawet ciągła zmiana muzycznych klimatów. Nie było bowiem jednego didżeja, a że każdy chciał puścić swój ulubiony utwór, to zdarzały się przypadki puszczania ostro rockowego kawałka zaraz po czymś dyskotekowym. Następnie, ktoś znalazł jakiś stary mikrofon i nastąpił jeszcze wyższy stopień imprezowego wtajemniczenia, a mianowicie śpiewanki. Pasji z jaką owo wesołe stadko wykonywało poszczególne utwory, mogli by im pozazdrościć najwybitniejsi wykonawcy muzyczni. I mimo, iż czystość głosów opadała wraz z czasem, to chęci do śpiewu ciągle przybywało.

Impreza trwała już dobre kilka godzin, gdy w końcu Bosman zmęczył się na tyle, że postanowił odpocząć. W pokoju było strasznie gorąco, wyszedł więc na korytarz. Czekała tu na niego względna cisza i spokój. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Miasto pulsowało światłem. Z tej perspektywy było nawet momentami ładne, ale jednak strasznie puste. W odbiciu szyby Bosman ujrzał swoją twarz i zaczął się jej przyglądać. Nie był jeszcze tak mocno pijany, ale do stanu określanego mianem trzeźwości także było mu daleko.

- „I co ty kurwa tutaj robisz?" – zadawał sobie pytania w myślach. – „Co ty tu robisz? No co? Gdzie pójdziesz jutro? Będziesz tak wiecznie balował, nie znajdując odpowiedzi?" – Bosman nagle poczuł smutek, a ci wszyscy dobrze bawiący się ludzie w pokoju obok, do których przed chwilą się zaliczał, jeszcze potęgowali u niego poczucie beznadziejności. – „Mógłbym stąd teraz wyjść i nawet nikt by nie zauważył? Właściwie to dlaczego miałby zauważać?" – a po chwili mruknął do odbicia w szybie. – Zadufany w sobie dupek. – Poczuł pustkę.

W zasadzie faktycznie w tym momencie nie był nikomu potrzebny, więc miał prawo się tak poczuć. Jednak dręczyła go myśl, że to uczucie nie minie i to nie tylko nie minie z nastaniem ranka, ale może nie minie już nigdy. Spojrzał jeszcze raz przez okno.

– Po co ja tu przyjechałem? No po co? Gdzie tu jest jakiś sens? – pytał sam siebie mocno wysilonym i trochę zrozpaczonym głosem.

W końcu poczuł całkowitą bezsilność. W tym momencie nie wierzył już, że odnajdzie jakiekolwiek sensowne odpowiedzi na te pytania, a te które znajdzie jeszcze bardziej go pogrążą.

– Kurwa! – wrzasnął w stronę nieba, przez które nadal nie przeświecały gwiazdy. – I to ma być już to?! To ma być to?! Tak to wszystko ma dalej wyglądać?! – spuścił głowę i dodał z beznadzieją w głosie. – Przecież to żałosne. Czy marzyć można tylko we śnie?

Widok z okna wyraźnie go przygnębiał. Nie chciał się już dalej bawić i postanowił wrócić do domu. Udał się do pokoju, powiedział Przyjacielowi, że musi wrócić i poprosił go aby dał mu klucze do mieszkania. Przyjaciel zapytał się czy nie wracać z nim, ale Bosman wyraźnie nie życzył sobie towarzystwa. Zjeżdżając windą słyszał jak na każdym piętrze odbywa się jakaś balanga.

– „To już nie dla mnie. Mój czas na to już się skończył. Chyba pora wydorośleć" – pomyślał i wysiadł z windy.

Postanowił wrócić tą samą drogą którą tu przyszedł, mimo iż nie wyglądała na zbyt bezpieczną. Nie chciało mu się jednak iść na około, a poza tym był tak wkurzony, że miał wszystko gdzieś i nie zwracał uwagi na żadne zagrożenia. Bosman szedł wściekły. Wściekły na własną bezradność. Nie rozumiał, jak inni radzą sobie z tym wszystkim i czemu to właśnie on poradzić sobie nie może. Wydawało mu się, że tylko on ma taki problem. Było w tym sporo prawdy, gdyż ze wszystkich bliskich znajomych, faktycznie tylko on nie potrafił jakoś przystosować się do tego wszystkiego. Można powiedzieć, ze dręczył go wielki kompleks niespełnienia. Nie liczył już, że cokolwiek spełni się kiedykolwiek. Na nic nie liczył. Był tylko coraz bardziej i bardziej wściekły. Myśli prawie paliły go od środka i miał ochotę wykrzyczeć z siebie to wszystko. Idąc szybkim krokiem nie patrzył przed siebie. Praktycznie w ogóle nie patrzył. Całą uwagę koncentrował na tej jednej niszczącej go myśli, barku wyjścia z sytuacji. Z tej matni która chciała go skrępować, a bez której nie wyobrażał sobie normalnej egzystencji. Zaciskał pięści najmocniej jak potrafił, jakby to mogło ulżyć jego myślom. W całej tej złości nie zauważył nawet pewnego nastolatka na drodze, do którego nieuchronnie się zbliżał. Młodziak podszedł do niego i wyjmując nóż powiedział wyzywająco.

- Dawaj kasę!

Bosman nie należał do bohaterów. Nie to żeby był strachliwy, ale przed człowiekiem z nożem w normalnej sytuacji na pewno poczuł by respekt i nawet nie dyskutował. Jednak sytuacja do normalnych nie należała. Bosman był tak wściekle zajęty dręczącymi go myślami, że nawet nie spojrzał na początkującego gangstera i z pewnością nie zauważył też, trzymanego przezeń noża. Warknął za to w złości:

- Spierdalaj gnoju! – i po prostu go minął.

Młodziak nie dał za wygraną. Także się wkurzył i gdy już zdołał zebrać myśli, pomknął za Bosmanem zamierzając się nożem. Trudno powiedzieć, czy Bosman wśród swych myśli nagle usłyszał szybko zbliżające się za sobą kroki, czy też działał bardziej pod wpływem instynktu, w każdym razie odwrócił się raptownie akurat w momencie, gdy gnojek zamachnął cios nożem. Bosman odruchowo chwycił za ostrze, rozcinając sobie dłoń, ale też odpychając je od siebie. Na razie w złości, która teraz osiągnęła apogeum, nie czół bólu. Szczeniak był wyraźnie zaskoczony tak szybką reakcją, bo nie spodziewał się więk-

szych trudności. Bosman nie dał mu jednak czasu oprzytomnieć, tylko z całą wściekłością strzelił mu pięścią prosto w twarz. Trzeba wam wiedzieć, że Bosman miał czym przyłożyć i teraz zrobił to z wielką wprawą i szybkością, mimo iż nie bił się z nikim od czasów szkolnych. Siła ciosu odepchnęła gnojka na kilka metrów, zatoczył się i przewrócił. Nóż leżał teraz na ziemi obok Bosmańskiej nogi. Przerażony gówniarz, szybko się podniósł. Twarz miał całą we krwi i trzymał się za nos. Spojrzał na Bosmana, który wcale się nie uspokoił, a nawet wręcz przeciwnie. Teraz był nie tylko wściekły, ale i o wiele bardziej świadom swych możliwości bojowych. Zaczął zbliżać się do młodego. Ten nie czekał jednak na przebieg wydarzeń i postanowił wycofać się na z góry upatrzone pozycje, czyli do kochanego domciu. Z początku Bosman chciał pobiec za nim, żądny całkowitego zmiażdżenia przeciwnika, na którym mógłby przy okazji wyładować całą swoją frustrację, ale właśnie zaczęła dawać o sobie znać rozcięta dłoń. Spojrzał na nią. Nie wyglądało to najlepiej. Na samym środku łapy miał dość głębokie nacięcie z którego wydobywała się całkiem spora ilość krwi, a kilka płytszych widniało na palcach.

- „No niech to tylko zobaczą w domu. Przecież wtedy nie wypuszczą mnie już nigdzie bez dziesięcioosobowej obstawy" – pomyślał Bosman, z którego złość dziwnym sposobem całkowicie spłynęła.

Szybko sięgnął do kieszeni po jakąś chusteczkę, by zatrzymać krwawienie, po czym udał się śpiesznie do domu Przyjaciela. Nie zamierzał zachodzić na pogotowie. Przynajmniej nie dzisiaj. Przecież nawet nie wiedział gdzie ono jest. Poza tym wydawało mu się, że nie jest to nic tak groźnego, co by nie mogło poczekać.

Gdy dotarł do domu Przyjaciela, począł szukać w łazience jakiejś apteczki. Dało to całkiem dobry rezultat, bo znalazł kilka bandaży. Nie było jednak nic do dezynfekcji.

- "Lodówka" – pomyślał Bosman.

W lodówce jednak nic nie było. Przecież wszystko zabrali na imprezę. Ostatnią szansą był teraz barek. I tym razem szczęście Bosmanowi dopisało. W barku stała jakaś do połowy pusta butelka whisky. Pomimo tego, że Bosman nie był szczególnym znawcą tego rodzaju trunków, a nawet uważał je za zwykły bimber, uznał że do celów leczniczych nadaje się w sam raz. Z początku miał pewne problemy z zastosowaniem środka odkażającego, bo zaczął używać go doustnie. Szybko jednak zauważył, że niewiele to ranie pomaga i postanowił ją polać. Tym razem skutek był natychmiastowy.

- O kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa! – Bosman skoczył na równe nogi i zaczął latać po całym pokoju z zawrotną prędkością, nie zważając na przeszkody terenowe, typu krzesła, stół czy kanapa.

Ręka piekła go, jakby ją włożył w ogień i zanim całkiem przestała, zdążył przebiec całkiem ładny dystans. W końcu zmachany usiadł na kanapie i przystąpił do obwijania jej bandażami. Chciał mieć pewność, że wszystko jest zrobione należycie i zużył na ów nieszczęsną dłoń wszystkie bandaże jakie znalazł. Miał teraz na końcu ręki coś w rodzaju białego arbuza.

– „Może nieco przesadziłem?" – pomyślał, po czym dodał. – „Etam, nieważne. Idę spać". – Jak powiedział tak też uczynił.

Rozebrał się i wskoczył pod śpiworek rozłożony na kanapie, na której spędził także poprzednią noc. Usnął tym szybciej, że alkohol ciągle pulsował w jego żyłach.

Sen trzeci

Siedzę nad jeziorem. Znałem je, często tu przychodzę. Jest małe, ale niemożliwe do przepłynięcia, bo sięga poza horyzont. Mimo to widzę jego drugi brzeg. Jest ciepła słoneczna pogoda. Bezchmurnie. Opalam się. To jest raj. Nieskończony raj. Nagle dostrzegam coś na samym środku jeziora. Jest piękne. Co to może być? Muszę tam popłynąć. Nie, nie dlatego, że chcę, ja po prostu muszę. To mój cel. Moje przeznaczenie. Płynę więc zanurzając się w ciepłym powietrzu, które mnie unosi. Chociaż staram się z całych sił, znosi mnie ciągle do brzegu. Nadbrzeżną drogą jedzie biały bus. On się śmieje. W końcu jakoś znajduję się na środku jeziora. Nic tu nie ma. Czy to było złudzenie? Jestem już zmęczony, a do brzegu daleko. Nie, to nie złudzenie. Mój cel jest teraz na brzegu. Wygląda pięknie w tym rozpalonym słońcu. Zmęczenie mija. Płynę. Jestem mistrzem w płynięciu. Chłodna woda otacza mnie, zachęcając do zabawy z nią. Ufam jej. Osiągam brzeg. Piaszczysta plaża i drzewa przy niej witają mnie. Byłem tu oczekiwany. Na piasku leży jajko. Takie małe i niepozorne. Biorę je do ręki. Przepowiednia się spełniła.

C.D.N.

Całe opowiadanie można znaleźć tutaj: http://bambararowo.blogspot.com/

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Falcor, dodano 09.09.2014 15:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.